Jak to jest – wejść do pokoju, który do niedawna był prawie całym domem dla jednego człowieka, a teraz tego człowieka już tam nie ma. I nigdy nie będzie.

Jak to jest – otwierać szafy, wciąż pełne ubrań; otwierać szuflady z poukładanymi równo skarpetami; otwierać książkę na pozostawionej zakładce i mieć świadomość, że nie ma takiej siły, która wróci tamtą osobę do życia i pozwoli jej przerzucić kartkę; przeglądać zeszyty z notatkami, niedotyczącymi tak naprawdę niczego istotnego.

Jak to jest – spać na niedokładnie wypranym materacu po kimś (wciąż można dostrzec wyblakłe ślady krwi).

Początek

Zaczęło się w roku 1930 w Bydgoszczy. W 1937 dziadek wyprowadza się wraz z rodziną na Wołyń, do Dubna. Trudno powiedzieć, dlaczego. Pierwsze zdjęcie dziadka, jakie udało mi się odnaleźć w jego papierach, to zdjęcie z września 1938. Stoi w mundurku, chyba harcerskim, wysoko podciągnięte spodnie, kij pod ręką, widać też ramiączka od plecaka. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak maszerował w tym plecaku i wysoko podciągniętych spodniach po ulicach Dubna. Na ulicy widział Ukraińców, Polaków, ale też Żydów czy Czechów.

Około 200 kilometrów dalej odbywała się przymusowa kolektywizacja i „rozkułaczanie" Ukrainy.

Świadectwo za rok szkolny 1938/1939 – po polsku. Drugą klasę skończył 21 czerwca 1939. Świadectwo za rok szkolny 1939/1940 – po ukraińsku. Do tego gramota, czyli pisemna pochwała od dyrektora szkoły (w lewym roku portret dziadka Lenina, w prawym wujka Stalina, a nad wszystkim czuwają sierp i młot, rozciągnięte nad całym swiatem). Świadectwo za rok szkolny 1941/1942 – dwustronne; awers po ukraińsku, rewers po niemiecku (może odwrotnie). Data zakończenia roku szkolnego: 15 lipca 1942. Wychowawca: L. Melnik. I kolejna gramota. Brakuje świadectwa za rok szkolny 1940/1941. Ale wtedy chyba mało kto miał do tego głowę.

W 1941, kiedy Związek Radziecki zaczął gwałtownie się kurczyć, widział rozstrzelanych na ulicach. Na pewno słyszał też (pewnie jak wielu) o masowych rozstrzelaniach więźniów przez NKWD w lokalnym więzieniu. W Dubnie podobno strzelano przez judasza. Albo wrzucano granaty do cel. Po więźniach zostawały tylko krwawe bryzgi na ścianach. A gdzie indziej skazanych najpierw rozstrzelano, a później, dla pewności, jeżdżono po nich ciężarówkami.

A w zdjęciach dziadka – fotografia chłopca, podpisana z tyłu: „Na pamiątkę kochanemu koledze Irusiowi ofiaruje Stasiu. 2.II.1940 r.".

W pobliskim więzieniu znajdowały się tzw. cele wodne. Służyły wymuszaniu zeznań. W każdej z nich stał taboret, więzień stojący na taborecie miał wody po kostki. Poziom wody można było regulować. Po 5-7 dniach skazaniec mówił to, co chcieli usłyszeć funkcjonariusze, topił się albo popadał w chorobę psychiczną. Metodę stosowano też wobec kobiet.

W lutym, kwietniu i czerwcu 1940 radzieckie władze zadecydowały o deportacji ogromnej ilości Po-

laków na Syberię. Czy ten chłopiec ze zdjęcia był wśród nich?

Z jednej strony: niewinna fotografia, z drugiej: wodna cela i wywózki. W XX wieku absolutnie nic nie kleiło się zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

Uciekli z Wołynia do Lublina w roku 1943 (właściwie: to niemieckie władze litościwie zezwoliły na ich wyjazd): na krótko przed pierwszymi mordami wołyńskimi. Mieli dużo szczęścia, że mieszkali w mieście, gdzie Niemcy sprawowali jakąś kontrolę i UPA bała się zaatakować. Wyjechali w momencie, kiedy zaczęły docierać pierwsze pogłoski o tym, co się dzieje, kiedy uciekinierzy z wycinanych przez Ukraińców wsi i wiosek znaleźli się w mieście. Co nie zmienia faktu, że ojciec dziadka spał z siekierą przy łóżku. Na wszelki wypadek.

Holocaustu mógł nie widzieć. Żydzi od pewnego momentu zaczęli znikać z ulic. Ale jestem przekonany, że widział rozstrzelanych na ulicach. Że przechodził obok getta i słyszał strzały. Może nawet widział pogrom Żydów oskarżonych w sprzyjanie komunizmowi. Albo chociaż słyszał.

Są jeszcze lata powojenne, kiedy w kawiarni, za zagranie na pianinie *Czerwonych maków na Monte Cassino*, został spałowany przez milicjantów. Reszty życia jakby nie było: nikt nic nie wie, wszystko zostaje w półsłówkach, rodzina milczy. Są rzeczy, o których się nie mówi.

Mam przed sobą zdjęcia, ukryte przez niego w skórzanym portfelu (ten portfel miał od zawsze; może też z tego powodu schował w nim te zdjęcia). Mały format, niektóre są podpisane z tyłu. Dziadek w mundurku harcerskim, kolega dziadka na klęczniku, dziadek ze swoim ojcem. Tylko fotografie.

Mechanik: zięć przychodził do niego do warsztatu, szukać części do motocykla, a on, w szampańskim nastroju, wskazywał, gdzie co leży. I prosił, żeby zięć broń Boże nie mówił teściowej o szampańskim nastroju. Kierowca: woził prokuratorów do wypadków i do zabójstw. Nasłuchał się, naoglądał, ale nigdy o tym nie mówił.

Mięta

Lekarstwa popijał zawsze miętową herbatą. Zimną i diabelnie mocną (lubił wszystko, co mocne). Miał swoje krzesło w kuchni, na którym często przesiadywał.

Po herbacie pozostał jedynie kubek – porządnie wyczyszczony. W tym samym miejscu stoi też krzesło, ale już z innym obiciem.

Kasety

Lata 90-te, Bydgoszcz, stadion Bydgoskiego Klubu Sportowego „Chemik". Niedziela. Dziadek korzysta z uroków giełdy – fenomenu, który istnieje już chyba tylko w jednym wielkim mieście wojewódzkim. Na giełdzie można kupić praktycznie wszystko: meble, ubrania, pirackie kasety magnetofonowe i magnetowidowe. Na wieszakach: tandetne kreszowe dresy, wygniecione ciuchy, noszące jeszcze ślady zapakowania. Mydło i powidło, wszystko i nic. Od Ruskich, Wietnamczyków i Polaków.

Na trybunach rozłożone koce, ręczniki, prześcieradła – co kto akurat miał pod ręką. A na nich wszelkie bogactwo. Dziadek ma swój jasno sprecyzowany cel. Chodzi mu o kasety magnetofonowe z muzyką akordeonową, ewentualnie tzw. muzykę narodową, głównie bałkańską. Kupuje tego mnóstwo. Sprzedaw-

cy podobno patrzyli na niego wielkimi oczyma, zastanawiając się, kim jest ten miły starszy pan, który przychodzi co tydzień i zawsze chce tego samego: kaset.

Zdążył przesłuchać może połowę. Miał ich tyle, że układał dwa, trzy rzędy na półce. A później, kiedy już mu przeszło, pozbył się wszystkich.

Książki

Za ilość książek, które kupił w pewnej księgarni sieciowej otrzymał złotą kartę członkowską.

Za taką ilość kupionych książek – powinni mu je dawać za darmo.

Jeżeli już gdzieś wyjeżdżał – zawsze wchodził do antykwariatu. Grzebał, przetrzebiał półki, kompletował tomy. Nie gardził żadną książką: przedwojenną, w miękkiej okładce, z obwolutą albo bez, podpisaną i niepodpisaną.

Półki nie wytrzymywały ciężaru i trzeba je było wzmocnić. Przede wszystkim od spodu, metalowymi podpórkami, jeden rząd przytrzymywał drugi. Zaczepy przy regałach ściągał z innego miasta. Dziadek zalecił także, żeby wymienić wkręty – te stare miały średnicę ołówka, te nowe już palca. Dzięki temu mogły przyjąć więcej niż jeden rząd książek. A miały co dźwigać, bo dziadek, jeśli kupował nowe książki, to zawsze w twardych okładkach.

Na książki natykałem się praktycznie wszędzie. Pamiętam wakacyjne i świąteczne wizyty. Drzwi od pokoju dziadka zazwyczaj były zamknięte, on sam raczej rzadko się pojawiał (jeśli już wynurzał się ze swojego pokoju, to tylko po to, żeby opowiadać innym o książkach, które ostatnio kupił). Ale książki były wszędzie. Nie przepuścił żadnej okazji. A to wujkowi podrzucił *Potop* (bo zdobył wydanie z innymi, ładniejszymi ilustracjami), a to babci atlas koni, a to mojemu tacie, a to mi… Gromadził i gromadził, ale mało czytał. Lubił książki oglądać, wąchać, przewracać strony – czytał zapewne też, ale przy takiej ilości musiałby żyć co najmniej 100 lat dłużej. Pawlacze, łazienka, kuchnia; tomy, tomiki, broszurki.

Nie ma go już od 8 lat. A kilka książek, które czytał, przeglądał, zbierał – jest u mnie na półce.

Papierosy

Dziadek kurzył papierosy jak komin. Niemal odpalał jednego od drugiego. Dym i zapach rozchodziły się po całym mieszkaniu. Latem okna były otwarte na przestrzał, więc można było jeszcze wytrzymać. Ale zimą smród stawał się nie do zniesienia. A kiedy wchodziło się do niego do pokoju – obezwładniał.

Lepki odór osiadał na meblach, ubraniach i ludziach. Zażółcone tapety, nasycone nikotyną firany i zasłony, parapety pokryte żółtawym osadem, wreszcie grzbiety książek z żółtym, gęstym i ciężkim nalotem. Dotknięcie grzbietu pozostawiało na nim wyraźny odcisk palca. No i zapach; po 8 latach niektóre jeszcze się nie wywietrzyły.

Nikotyna dobrze go zakonserwowała. Pod koniec życia lekarz zakazał palenia. I to był początek końca.

Koniec

Krótki SMS: „Dziadka już nie ma”.

Pamiętam, jak po nim sprzątałem. Książki były dosłownie wszędzie. W skrzyni rozkładanej kanapy (zamiast pościeli). W szafie, gdzie sąsiadowały z ubogą garderobą. W szafkach i na półkach, poukładane czasem w dwóch, czasem w trzech rzędach. W kartonach pochowanych za zasłonami. Obok pieluch (bo pod koniec życia nie mógł już chodzić), jednorazowych prześcieradeł, leków, rurek, poduszek przeciwodleżynowych.

Część z nich sprzedaliśmy. Reszta – zasiliła spaloną bibliotekę w Sobolewie (woj. lubelskie).

Ilość kartonów: 54.

Później weszli ludzie od remontu. Jeden z fachowców spojrzał na lampę: - Tak zażółconej lampy jeszcze nie widziałem. Zżółkła od dymu papierosowego. Kiedy ją zdjęli, papierowe klosze kruszyły się w palcach. Sufit, pomimo czyszczenia, nie dawał się malować, trzeba było położyć kilka warstw białej farby.

Teraz tamten pokój już nie istnieje. Nie pozostało prawie nic. Tylko *Granica* wciąż leży na biurku. Nieruszana. Z zakładką w tym samym miejscu.

Koniec nr 2

Dopiero po latach okazało się, że pił. Na umór. Od bicia też nie stronił. Ale przecież ani o jednym, ani o drugim się nie mówi. Pamięć bywa kapryśna i lubi wodzić na manowce. Cisza nad tym grobem.

Co jeszcze pozostało?

- zwinięte w rulony spisy książek (około 15);
- sześć koszul, dwie marynarki, dres;
- papierosy i zapałki produkcji ZSRR;
- okulary i zegarek;
- zniszczone buty
- zwierzątka z papieru.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Woland, dodano 10.01.2019 04:09

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.